

Kronika tygodniowa.

Jaż to, muszę się przyznać, prześladowa mnie paskudny pech i to na każdym kroku. Niech tylko zaczęć o czym pisać i to zwłaszcza na samym końcu kroniki, mógłbym przysiąc, że, zanim ona ujrzy światło dzienne, wydebywszy się z czułych uścisków maszyn drukarskiej, stanie się coś zupełnie przeciwnego temu, na co zwracałem uwagę ogółu P. T. Czytelników.

Ale niema złego, aby na dobre nie wyszło, przy najmniej w tym wypadku.

Koniec poprzedniej kroniki poświęciłem deszczowi i wylewom naszych rzek, nawet i spokojnej Wisły (co nam przecież dzięki ujęciu jej w kamienny gorset w obrębie miasta, zbyt odczuć się nie dało...), a tu, jakby na zawołanie, nie tylko pogoda, ale nawet i upały, przypominające przedwojenną kanikulę. Skorzystał z tego magistrat i zwrócił uwagę mieszkańców miasta, aby korzystali z nadarzającej się sposobności i zaopatrywali się na zimę w zapasy gorącego powietrza, mogącego bardzo łatwo zastąpić węgle, z którymi w bieżącym roku ma być podobno bardzo kręcho. Wskazaniem jest przechowywanie gorącego powietrza (naturalnie, ze względu na zdrowie, należyte odkażonego...) w silnych, dębowych beczkach, szczególnie zaszpurowanych, gdyby bowiem powietrze przypadkowo wystygło, można przynajmniej beczkę porąbać i użyć zamiast materiału opałowego, czego nie można powiedzieć o szklanych fiolkach i gąsiorach.

Ale to do rzeczy nie należy.

Otoż, zaledwie zacząłem pisać o niepogodzie, mamy już, dzięki Bogu pogodę, o której, niestety, pisać nie mogę, bojąc się, by mój „pech“ nie przypomniał sobie o mnie. Bez deszczu już się stanowczo obejździemy i to na dłuższy czas, do niekropionych ulic już się przyzwyczailiśmy. Za zaś pogoda potrzebna, o tem niema dwu zdań. Mniejsi i więksi agrariusze już dziś stawiają bardzo brzydkie horoskopy na przyszłość i powiadają, że, aczkolwiek z wielkim bólem serca, ale będą musieli podnieść znów ceny zboża i ziemniaków. Z powodu stałej niepogody, którą mamy do zawdzięczenia świętemu Medardowi, zboże porośło, częściowo zaś się sypia, ziemniaki zaś zaczynają gnąć, co, wszystko razem wzięwszy, każe przypuszczać, że następny przednówek będzie jeszcze gorszy od poprzedniego, w którym krzepiły nas bodaj obietnice. że mąka ukraińska jest już w drodze. Ile dziś na targu kosztuje kilogram ziemniaków, tego powiedzieć nie umiem, ale to wiem, że w restauracjach za koronę podają trzy jałowe ziemniaki, wielkości orzechów włoskich.

Po inne lata mógł człowiek w tym czasie używać bodaj na bobie, w tym roku na ten rozsądziący przysmak mogą sobie pozwolić tylko milionerzy i paskarze.

Dzięki owej niepogodzie nie mieliśmy w tym roku właściwie męskiego lata, bo „babie lato“ z pewnością będzie, a kronikarz musiał zrezygnować z planowanej podróży wakacyjnej przez Kalwaryę i Suchą do Zakopanego, stąd do Rabki, wreszcie do Szczawnicy i Krynicy, nie mówiąc o Swoszowicach, dokąd z Krakowa można się łatwo udać pieszo, albo wykopać się w szańce u pana Matecznego na Podgórze i wmówić w siebie, że się jest w Swoszowicach.

Podróż owa nie doszła do skutku ze względu właśnie na ową niepogodę i wylewy, wobec czego „z powodów od Redakcyi niezależnych“ odłożoną została na rok przyszły, o ile naturalnie tymczasem wojna się skończy i stosunki poprawią.

A ma się to stać jeszcze w roku bieżącym, przed początkiem listopada, jak mnie ustnie i na piśmie zapewniał prorok magistrali już po raz drugi.

Na odpuszczenie w Kalwaryi nie byłem. Suchej także nie odwiedziłem, ale, co się odwleczę, to nie ucieczę. Na Kalwaryę wysłałem służącą Kasię i od niej mam zupełnie pewne informacje, wiem także, że w Suchej było w tym czasie moko.

Co do Zakopanego, to, jak mnie mój sprawozdawca zapewnia, frekwencja kuracuszów była w tym roku bardzo słaba. Część gości odstraszyła aprowizacja, która była podobno zapewniona, ale tylko dla tych, którzy przywieźli ze sobą zapasy artykułów spożywczych. Druga część obraziła się, zbyt sobie biorąc do serca ogłoszenia, iż „mieszkania wynajmuje się tylko Polakom...“ i wyjechała do Rabki, gdzie wobec tego było i cisno i drego.

Podróż do Szczawnicy i Krynicy byłaby i tak musiała wpaść z programu i to z powodów politycznych. Wiadomo wprawdzie z geografii, że obie te miejscowości leżą w Galicji zachodniej — zgodzę się nawet i na środkową — gdy natomiast Rusini twierdzą, że jest to ziemia rdzennie ukraińska, tworząca wyrostek, wdzierający się w polskie ziemie. Ponieważ zaś każdy taki wyrostek jest zwykle bardzo drażliwy...

(porównaj: ślepa kiszka i wyrostek robaczkowaty...), nie też dziwnego, że na tę polityczną słabość chorują obecnie nasi Ukraińcy, pragnący *jure caduco* oba te zdrojowiska wciągnąć w granice zachodniej Ukrainy i kto wie, czy nie żądać od kuracuszów specjalnego paszportu, wizowanego przez ukraińskiego konsula. Kronikarz zaś nie wie nawet, gdzie rezyduje ten dygnitarz, gdyżby zaś i wiedział, jest przekonany, iż „jako *niebłagonadiożnyj*“ wizy tak czy owak z pewnością by nie otrzymał.

Wiadomości, jakie nadeszły z obu tych miejscowości, brzmią prawie jednako: gości dużo, pogody mało, drożyzna. Ruch pociągów, tak zwanych „kominarskich“, zwłaszcza do Krynicy, z powodu różnych utrudnień, pozostawia wiele do życzenia, ale też nie sprawia tylu nieprzyjemnych niespodzianek, co po inne lata, gdy biedna kuracuszka nie była pewną ani dnia ani godziny, czy przypadkiem, jak jastrząb z jasnego nieba, nie spadnie niespodziewanie zazdrosny małżonek i... zamaci sielankę. Z tego powodu tegoroczne kuracuszki mniej też są zdenerwowane, niż po inne lata, co wpływa dodatnio i na ogólny przebieg leczenia.

O aprowizacji w Krynicy i Szczawnicy można powiedzieć zupełnie to samo, co się wyrzekło *ex re* Zakopanego. Za pieniądze dostanie się wszystko, ponieważ zaś do kąpiel bez pieniędzy nikt się nie wybiera, *ergo* wszystko w porządku. Handel łańcuskowy, podbijanie cen i t. d. kwitną i tutaj, jak zresztą wszędzie w całym kraju.

Obecnie, gdy wakacje już się kończą i zdrojowiska i uzdrowiska zaczynają się opróżniać, choć u nas właśnie jesień jest zwykle najpiękniejszą porą roku i najlepiej nadaje się na pobyt na świeżem powietrzu. Dni wprawdzie są krótsze, ale noce zato dłuższe, co się zaś tyczy „zimnych wieczorów i ranków“, to trzeba pamiętać, że u nas, jak rok długi, powinno się być na to przygotowanym, choćby tylko ze względu na przysłowie: „Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po świętym Duchu chodź także w kożuchu“.

I gdyby tak poprawiły się konjunktury finansowe kronikarza, to jest gdyby mu się udało otrzymać jakąś zapomogę, o którą u różnych P. T. Władz kołata, kto wie, czy celem poratowania nadwątłego pracą i wojennymi stosunkami zdrowia nie wybrały się gdzieś, jeśli już nie na kurację, to bodaj na wypoczynek po trudach. Ale taką zapomogę trudno uzyskać, jeżeli się nie ma protekcyi. Jeśli się ją zaś znajdzie, to zazwyczaj kapnie petentowi tyle, że jest w kłopotcie, co z uzyskanej kwoty najpierw załatwić. Spłacić dług, nie zostanie nic na bieżące wydatki, nie mówiąc już o zaopatrzeniu się w ciepłą odzież lub zapasy na zimę, bo na to stanowczo nie wystarczy.

Tegoroczne wakacje mają być przedłużone. Z powodu trudności aprowizacyjnych zaczęły się wcześniej niż zwykle, teraz mają się skończyć później, ze względu na oszczędzania na opale i świetle. Już to światłodawcy i ich pupile na wojnę narzekać nie mogą, ani jedna ani druga strona się bynajmniej nie zmęczy. Ale jakie to pokolenie wyrośnie, przyzwyczajone ze względu na stosunki, wywołane wojną, załatwiać wszystko, jak to mówi Rusin: *chytro mudro, newetykim kosztom!*... Wojna wieki trwać nie będzie, raz przecież muszą się skończyć te sztuczki, a wówczas przykro będzie tym, którzy przyzwyczaili się tak lekko płynąć sobie po powierzchni życia. Nieraz jeszcze należy się im wody za uszy.

Aby znów ktoś nie zrobił kronikarzowi zarzutu, iż przemawia przezeń hipochondrya, zmieniam temat i przechodzę do aprowizacji, już choćby tylko z tego powodu, iż ona, jako od „a“ się zaczynająca, znajduje się na pierwszym planie.

Agrariusze powiedzieli już swoje i dodali, że tegoroczne zbiory, o ile nie będziemy musieli pamiętać i o biednych sąsiadach, wystarczą najwyżej do końca grudnia, w ślad za nimi poszedł i Wysoki Rząd, zawiadamiając, że w najbliższym już czasie pojawi się rozporządzenie, wprowadzające trzy dni bezmięsne w tygodniu: poniedziałek, środa i piątek. Wybór bardzo trafny. Poniedziałkowy post chyba nikomu zbyt się nie da wa znaki, już choćby tylko z tego powodu, że dawne *blaumontagi* polegały właśnie na wstrzymaniu się od wszelakiego jedzenia, a odżywianiu się śledziami i gaszeniu pragnienia wodą sodową. Środa i piątek to dni postu uznanego i nakazanego przez Kościół, tym, którzy chcą być zbawieni, a obecnie przez c. k. Rząd, aby nie tylko my, ale i inni mieli co wziąć w usta.

Z postami owymi przez c. k. Władzę nakazanymi, musimy się pogodzić, gdyż od nich dyspenzy niema. Należy Panu Bogu podziękować, że dopiero w piątym roku wojny mamy trzy dni bezmięsne. Należałoby się także nad tem zastanowić, jak długo musiałaby się przeciągać obecna wojna, by dojść do śledziny dni bezmięsnych (nakazanych!... nie dobrowolnych!...) w tygodniu. Jak się zdaje, można się tego spodziewać w piętnastym mniej więcej roku jej trwania.

Dziwna analogia panuje między nakryciem stołowym, pieniądźmi i... aprowizacją. W miarę jak się aprowizacja *podobno* poprawia, a z nią i ogólny dobrobyt, nikną z widowni halerze, żelazo i nikiel, coraz rzadsze stają się jednokoronówki i dwukoronówki. Coś podobnego dzieje się i z nakryciem stołowym. Na początku wojny potrzebował przeciętny śmiertelnik noża, widelca i łyżki, z czasem pożegnał się z nożem, jako zupełnie zbytecznym, skoro niema co krajać, zadowolą się obecnie widelcem i łyżką. Powiadają przecież, że nadejdzie czas, gdy będzie mógł obejść się bez widelca, potem i bez łyżki, co ma mniej więcej przypaść na ten czas, gdy będą urzędowo wprowadzone dni postu w liczbie siedmiu w tygodniu. Czekajmy więc cierpliwie do piętnastego roku trwania wojny, a kto wie czy się i tego nie doczekamy. Główna w tem rzecz, by móżdż „przetrzymać“, ale jak się to robi, o tem nie mówią żadne urzędowe pouczenia, a każdy zdany jest na swe własne doświadczenie i instynkt.

Powie znów kto może, że kronikarz złowroźnie kracze... Ja zaś na to odpowiem, że nie każdemu danem jest być słowikiem i wywozić radosne trele. Kto zresztą wie, czy nie jest lepiej, gdy się jest nawet na najgorsze przygotowanym, a potem się widzi, że tak źle nie jest, niż, gdy się na życie patrzy zbyt różowo, a potem na każdym kroku doznaje się rozczarowań, do których się nie było przygotowanym... To już może i najspokojniejszego wytrącić z równowagi i zniechęcić do życia.

Nie znaczy to bynajmniej, by i kronikarz stracił już wszelką nadzieję. Owszem, żywi ją i żywić będzie nawet i wtedy, gdy w miarę poprawiania się warunków aprowizacyjnych, będziemy się cieszyli coraz to większą liczbą dni bezmięsnych. Powiadają wprawdzie, że obecnie bije się cała kula ziemską, a ona, jako taka, ma obwód kołowy, koło zaś niema ani początku ani końca, że więc ta wojna się już nigdy nie skończy, ale ja znów na to odpowiem, że skoro się zaczęła to się i skończyć musi. Zresztą koło, choćby najściślej i najsiłniej zbudowane, może się bardzo łatwo rozlecieć w kawałki.

I to dodaje kronikarzowi siły do dalszego czekania na to, co będzie.

Jak z jednej strony gryzie mnie ciągiem aprowizacja, tak znów z drugiej dokucza mi tak na pozór niewinna rzecz, jak pogoda. Zaczynając niniejszą kronikę cieszyłem się pogodą i narzekałem na pecha, który mnie w tym kierunku prześladowa. Tymczasem pokazało się, że zacząłem to pisać widocznie w nie-szczęśliwą godzinę, gdyż już w piątek mieliśmy pierwszą porcję deszczu, dalszy zaś ciąg w sobotę. Nie dziela zaś rozdeszczyla się już zupełnie na dobre, wobec czego musiałem zrezygnować z wycieczki na Wawel, gdzie miałem ochotę zwiedzić apartamenty nieboszczyka smoka, protoplasty naszych paskarzy i podbijaczy cen.

O otwarciu dla publiczności Smoczej jamy doniosły krakowskie pisma, między niemi i *Nowości ilustrowane*, wielu też ciekawych podążyło na Wawel, ale tylko po to, by się tam na miejscu dowiedzieć, że nieboszczyk smok nie przyjmuje, gdyż mu się zepsuło... urządzenie elektryczne. Ale to nic. Smoczą jamę będzie można zwiedzić i później.

Przy tej sposobności przyszło mi na myśl, że takie same stosunki, jak dziś, panować musiały u nas i wtedy, gdy pan smok żył nad Wisłą i dokazywał. Bo, że na sumieniu miał on różne nieczyste sprawy, o tem uczy nas historia.

Podówczas musiały także być zaprowadzone dni bezmięsne, a baranina nie była także mięsem, jak u nas obecnie we wtorki, obowiązki komisarza aprowizacyjnego dla wawelskiej dzielnicy pełnił zaś niejaki pan Skuba, należący, jak twierdzą dziejopisowie, do sławetnego cechu szweców, *ulgo* szpadałów. Pan ten dostarczał smokowi jada i napoju, a raz uraczył go taką plecenią baranią, iż biedne smoczysko, chcąc zalać żar, jaki je palił „na wnątrzu“, wypilo połowę wody z Wisły, uratowało w ten sposób Kraków od powodzi. *ale smoko rekło*.

Nec locum, ubi Troia... Tego o smoku powiedzieć nie możemy, dochowało się bowiem do naszych czasów miejsce, gdzie on żył na zmartwienie sąsiadów aż do samej śmierci.

Historycy zastanawiają się nad tem, kto zaczął być ów smok. Konserwatywny obóz jest zdania, iż był to protoplasta krakowskich demokratów, ci zaś gotowi są przysięgać, że był to najbrzydlawszy stańczyk z krwi i kości i dopiero demokrat, pan Skuba, dał mu radę, uwalniając Kraków od tej plagi, za co dziwnym zbiegiem okoliczności nie wystawiono mu dotąd pomnika.

Ja byłbym natomiast zdania, iż ów smok to raczej pierwowzór naszych paskarzy i podbijaczy cen, którzy wprawdzie nie pożerają, tak, jak on, swych bliźnich, ale ich zato żywcem obdzierają ze skóry.